|  |
| --- |
| PROGRAMATOR |
| Załącznik nr 6 do Podręcznika Doradcy ZawodowegoWersja 1 |

Uniwersytecki debiut starszej aspirant Kozak nie był łatwy. Na Wydziale Orientalistycznym było pusto. Sobota, lipiec, wakacje. Stała pośrodku korytarza i nie bardzo wiedziała co dalej. Zapukała do kilku drzwi, cisza, zamknięte. Pokręciła się chwilę i z braku lepszego pomysłu weszła do klatki schodowej i schodami na piętro. Tutaj byli ludzie. Dwoje. Brzuchaty pracownik dłubiący przy instalacji elektrycznej i siedząca na parapecie, pogrążona w lekturze dziewczyna w dżinsach i T-shircie. Wybrała dziewczynę.

– Przepraszam panią, szukam jakiegoś specjalisty od pisma.

Dziewczyna z trudem oderwała się od lektury, spojrzała na policjantkę.

– Słucham?

– Szukam specjalisty od pisma.

– Jakiego pisma?

– Nie wiem. Jakiegoś egzotycznego…

– Egzotycznego…?

– No tak. Wie pani, takie dziwaczne robaczki…

– Robaczki…?

– Musi pani po mnie powtarzać?! No nie wiem, jak to nazwać, nie znam się na tym. Nigdy takiego pisma nie widziałam.

– I uważa pani, że to jakieś egzotyczne pismo?

– No tak…

– To może spróbuje pani na wydziale egzotycznym?

– A jest taki?

– Oczywiście, w Pałacu Kazimierzowskim. Jak pani stąd wyjdzie, proszę skręcić w lewo. Taki duży budynek, prostopadły do tego. – Dziewczyna złożyła dłonie w literę T.

– Wiem, co to znaczy „prostopadły”!

– To na pewno pani trafi. Egzotyka jest na pierwszym piętrze.

– Dziękuję.

– Drobiazg. Przecież musimy sobie pomagać, prawda? –

Dziewczyna uśmiechnęła się miło i wróciła do przerwanej lektury. Kozak bez trudu odnalazła Pałac Kazimierzowski. Przy wejściu wisiało kilka niebieskich tablic: Rektor, Prorektor do jakichś tam spraw, jeszcze kilka, ale tablicy Wydziału Egzotycznego nie było. Niezły bałagan tu mają, pomyślała starsza aspirant i dzielnie wkroczyła do środka. Bez słowa minęła recepcję i schodami ruszyła na pierwsze piętro. Przemierzyła cały korytarz, odczytała wszystkie tabliczki na drzwiach, Wydziału Egzotycznego nie znalazła. Zaczynała być wkurzona. Bez pukania weszła do najbliższego pokoju. Jakiś sekretariat. Za biurkiem siedziała nobliwa sekretarka. Spojrzała pytająco na Kozak.

– Tak?

– Przepraszam, nie mogę znaleźć Wydziału Egzotycznego.

– Przepraszam, jakiego?

– Czy ja nie mówię po polsku?! Egzotycznego!

– No tak, ze znalezieniem wydziału egzotycznego rzeczywiście może mieć pani problem…

– Bo?!

– Na uniwersytecie nie ma takiego wydziału.

– Ale mnie właśnie tu skierowano! – Policjantka miała ochotę wyć, gryźć, kopać. Najwyraźniej było to widać, bo sekretarka zaczęła do niej mówić powoli, łagodnie, jak do dziecka.

– Ktoś panią wprowadził w błąd. Proszę usiąść. Może ja będę potrafiła pani pomóc.

Policjantka postanowiła tym razem nie tłumaczyć, o co jej chodzi. Wyjęła zdjęcie tatuażu ofiary, pokazała je sekretarce.

– Szukam kogoś, kto potrafiłby odczytać to pismo. Jakaś gówniara skierowała mnie z tym na Wydział Egzotyczny…

– Studenci ciągle robią jakieś głupie żarty.

– Nie mam czasu na żarty! To naprawdę poważna sprawa! Jestem policjantką.

– Próbowała pani na Wydziale Orientalistycznym?

– Właśnie tam ta mała…

– Rozumiem – przerwała jej sekretarka. – Nie będzie łatwo. Mamy wakacje. Ale może coś wymyślimy. Mogę na chwilę zabrać to zdjęcie?

Kozak tylko skinęła głową. Sekretarka wstała.

– Proszę poczekać.

Wyszła. Zostawiła otwarte drzwi. Kozak wierciła się niespokojnie na krześle, wreszcie wstała, też wyszła na korytarz. Pusto. Zaczynała mieć silną awersję do pustych korytarzy. Sekretarka wróciła po kilku minutach.

– Ma pani szczęście. Doktor Jan Kowalski jest na wydziale.

– To znowu jakiś żart?! Jan Kowalski?! Przecież nikt się tak nie nazywa!

Nobliwa sekretarka roześmiała się.

– Ma pani rację. Doktor Kowalski jest wybitnym specjalistą, zna kilkanaście języków orientalnych, ale… jest dość specyficzny… Zresztą sama się pani przekona. Wydział Orientalistyczny, wie pani, gdzie to jest?

– Stamtąd przyszłam. Ta mała żmija…

– Tak, tak, oczywiście. Drugie piętro, pokój dwieście dwadzieścia sześć.

Sekretarka oddała zdjęcie. Kozak grzecznie podziękowała i udała się na poszukiwanie doktora o przedziwnym nazwisku. Tym razem i na jej podwórku zaświeciło słońce. „Mała żmija” właśnie wychodziła z wydziału. Uśmiechnęła się ciepło do Kozak…

– I co? Znalazła pani? – Bezczelna!

– A kopa chcesz?! – zaproponowała Kozak.

– Witamy na uniwersytecie! Miłego dnia. – Dziewczyna puściła oko do policjantki i ruszyła w swoją stronę. Gabi nie potrafiła się nie uśmiechnąć.

Tym razem poszło jej lepiej. Bez trudu znalazła właściwy pokój, na drzwiach była tabliczka: Dr hab. Jan Kowalski. Czyli jednak istnieje, pomyślała Kozak. Zapukała. Cisza. Jeszcze raz. Żadnej odpowiedzi. Nacisnęła klamkę, otwarte. Ostrożnie, powoli otworzyła drzwi i znalazła się w innym świecie, w średniowiecznej Afryce. W gabinecie panował półmrok. Okna zasłaniały trzcinowe maty. Podłoga wyłożona była wytartym ręcznie tkanym dywanem. Na ścianach wisiały zbroje, tarcze, włócznie, miecze, kirysy i inna broń, której nie potrafiła nazwać. Niepewnie weszła do środka.

Drzwi za nią zamknęły się cicho. Odwróciła się gwałtownie, prawa dłoń odruchowo powędrowała pod żakiet, spoczęła na kolbie służbowego walthera.

– To chyba nie będzie potrzebne… Pani jest tą policjantką?

– Starsza aspirant Gabriela Kozak, Centralne Biuro Śledcze Policji. Doktor Kowalski?

– Jan Kowalski. Doktor habilitowany, żeby być ścisłym.

Trochę inaczej wyobrażała sobie naukowca. Jan Kowalski był drobnym, ciemnoskórym mężczyzną z wełnistą czupryną i szpakowatą brodą. Wyglądał jak… jak… Gabi nie znalazła właściwego porównania.

– Proszę siadać. W czym mogę pomóc?

Mówił z ledwo wyczuwalnym akcentem. Kozak usiadła naprzeciw niego, nie mogła się powstrzymać i raz po raz zerkała na uczonego orientalistę.

– No dobrze, miejmy to już za sobą. Jestem Malgaszem z ludu Betsimisaraka, na Madagaskarze nazywałem się Rajaonarimampianina, ożeniłem się z Polką, żona miała pewne problemy z wymówieniem mojego nazwiska, więc przyjąłem jej. Czy teraz możemy przejść do rzeczy?

– Jest pan specjalistą od broni?

– Nie, od języków orientalnych. To – wskazał na wiszące na ścianie narzędzia mordu – jest tylko hobby. I pamiątka…

Wstał, zdjął jeden z noży. Mocno zakrzywiony, z krótkim skórzanym paskiem, do którego przymocowana była ozdobna pochwa.

– Ten na przykład to dżambia. Popularny w całej wschodniej Afryce. Nosiło się go na ramieniu. O tak… – Zapiął pasek na bicepsie lewej ręki. – A wyjmowało tak… – Jednym płynnym ruchem wyciągnął nóż z pochwy. – Symbol ludzi wolnych. Idealny do zdejmowania skóry z misjonarzy. Tylko ludzie wolni mieli prawo do konsumpcji misjonarzy. Zaczynało się od czubka głowy, później zjeżdżało na twarz, o tak… – Kowalski niemal dotknął nożem policzka policjantki. Odruchowo cofnęła się razem z krzesłem. Uczony uśmiechnął się milutko. Kontynuował: – Później ramiona, żebra, nogi… Żmudna, precyzyjna robota.

– Urocze…

– Konieczne. Misjonarze mieli strasznie twardą skórę, nie dawało się jej pogryźć. Chyba że moczyło się ich trzy dni w mleku kokosowym. Wtedy miękła. Ale kto by chciał czekać na kolację trzy dni?! Kowalski opowiadał ze śmiertelną powagą. Gabi nie była pewna, czy mówi serio, czy też stroi sobie z niej żarty. Postanowiła odpowiedzieć pięknym za nadobne.

– To czym pan się w Polsce odżywia? Misjonarzy u nas jak na lekarstwo.

Kowalski popatrzył na nią z powagą, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią. Niespodziewanie wybuchnął śmiechem. Śmiał się radośnie, zaraźliwie.

– Rzeczywiście, z misjonarzami jest pewien problem. Musiałem przejść na wegetarianizm. Mogę zobaczyć to pismo?

Kozak podała mu zdjęcie. Doktor zapalił lampkę na biurku, pochylił się nad fotografią. Po chwili wyjął z szuflady szkło powiększające.

Bardzo wolno przesuwał je nad napisem.

– Kiepska odbitka. Wolałbym zobaczyć oryginał.

– To niestety niemożliwe.

– Może mi pani powiedzieć coś więcej?

– To tatuaż. Na lewym nadgarstku kobiety. Chyba dosyć stary, wyblakł.

– Domyślam się, że ta kobieta nie żyje. Mogę się dowiedzieć, od jak dawna?

– Obawiam się, że nie.

– Proszę pani, przecież wiem, że nie przyszłaby tu pani, gdyby sprawa nie była poważna. Morderstwo albo uprowadzenie. Centralne Biuro Śledcze nie zajmuje się duperelami. Nie pytam z ciekawości, mam pewien trop, ale wydaje się tak nieprawdopodobny… Kozak milczała. Kowalski znowu pochylił się nad zdjęciem.

– Spytam inaczej: czy sprawa jest świeża, powiedzmy z ostatnich paru lat, czy znacznie, znacznie starsza?

– Świeża.

– Dziękuję.

Kowalski wstał, podszedł do przeszklonej biblioteczki, wspiął się na palce, by dosięgnąć do górnej półki. Zdjął z niej grube tomiszcze oprawione w czerwoną skórę. Przeniósł na biurko, otworzył. Pospiesznie przerzucał kartki, po chwili uśmiechnął się z tryumfem.

– Jest! Tak jak myślałem. Gy’yz!

– Słucham?!

– Najkrócej: to pismo etiopskie. Ale jest pewien problem…

– Tak?

– Od ponad półtora tysiąca lat nikt tego pisma nie używa.

– W Etiopii nie ma pisma? – Starsza aspirant dosyć słabo się orientowała w językach i pismach afrykańskich. W szkole policyjnej w Szczytnie nie było na ten temat wykładów.

– Jest, oczywiście, że jest. To kraj z jedną z najstarszych tradycji literackich. Najlepszy dowód to właśnie pismo gy’yz.

– Mówił pan, że już nikt tego pisma nie używa…

– To skomplikowane.

– Proszę spróbować. Postaram się skupić.

– Pismo etiopskie zostało zaadaptowane z alfabetu południowoarabskiego. W najstarszej fazie języka gy’yz…

– A język gy’yz to…? Chwileczkę! – Kozak wyjęła smartfona, uruchomiła dyktafon. – Proszę.

– Gy’yz to język z grupy etiosemickiej, używany był w etiopskim królestwie Aksum od IV wieku. Tradycja etiopska wskazuje na jego pochodzenie od przybyłego z terenów królestwa Saby ludu Agazjan. Kiedyś był to język literacki, obecnie jest jedynie językiem liturgicznym Ortodoksyjnego Kościoła Etiopskiego. Pełni taką samą funkcję jak język staro-cerkiewno-słowiański w Kościele prawosławnym.

– Czyli ichni księża nadal go używają, tak?

– Języka tak, pisma nie.

– Dlaczego?

– Jeśli się nie mylę, to jest zapis pierwotnego, najstarszego języka gy’yz, języka inskrypcji aksumskich. Miało ono wtedy, jak większość pism semickich, charakter spółgłoskowy.

– To znaczy?

– To znaczy, że nie było w nim znaków dla samogłosek, zaczęto je wyróżniać około czwartego wieku. To pismo jest wcześniejsze. – Kowalski wskazał na zdjęcie. – Nie ma w nim samogłosek.

– Wydziergała sobie napis w piśmie, którego od setek lat nikt nie używa?! Do tego w jakimś etiopskim?!

– Właśnie.

– Potrafi pan to przetłumaczyć?

– Napis jest niewyraźny, niektóre litery ledwo widoczne…

– Potrafi pan czy nie?!

– To zależy…

– Oczywiście otrzyma pan honorarium jako konsultant.

– Nie o to chodzi.

– A o co? – spytała, chociaż już się domyślała. Nie myliła się…

– Nie jadłem jeszcze obiadu… Na Nowym Mieście jest jedyna w Polsce knajpa etiopska. Piętnaście minut spacerem. Jeśli pozwoli się pani zaprosić.

– Pani Kowalska nie będzie zła?

– Pani Kowalska nie jest już moją żoną. Pozostało mi po niej tylko to oryginalne nazwisko. Więc?

– Cóż, służba nie drużba. Chodźmy.

Poszli.

Nie widziała Szuberta od dwóch lat. Teraz wpadła na niego drugi raz w ciągu dwóch godzin. Z kampusu wyszli z Kowalskim na Oboźną. Szubert właśnie schodził na dół z Harendy. Nie sam. Obok niego szła oszałamiająco piękna dziewczyna o ciemnej karnacji. Przystanęli naprzeciw siebie. Niezręcznie. Chwila ciszy, później chaotyczna wzajemna prezentacja.

– Hava Wellman.

– Szubert.

– Jan Kowalski.

– Kozak.

– Miło mi. Miło mi…

– Dokąd idziecie?

– Na dół. A wy?

– Również.

– No to…

No to poszli razem. W krępującym milczeniu. Na szczęście tylko kilka kroków. Kowalski i Kozak skręcili w lewo, na ścieżkę wzdłuż muru uniwersytetu, Szubert i Hava poszli dalej Oboźną w dół. W kierunku mieszkania Szuberta… Nie powinna czuć zazdrości! Nie powinna…

– Były? – Kowalski okazał się spostrzegawczym facetem.

– Nie, skąd. Kolega z pracy.

– Nie wygląda na policjanta.

– Były policjant. Teraz emeryt.

– Na emeryta też nie wygląda…

# Gabi uśmiechnęła się tylko, ujęła Kowalskiego pod ramię. Była dzielną dziewczynką. Nie obejrzała się za siebie…